

MAŁY GOŚĆ

POŚWIĘCONY DZIAŁWIE POLSKIEJ



Czy nam nie do twarzy w tych pięknych strojach
ludowych?

Kochane dzieci!

Prosiłem Was kiedyś, abyście zabierały się do modlitwy za przykładem francuskiego generała z wielkiem nabożeństwem. Dziś ja chcę Was zachęcić do uczczenia imienia Bożego wśród otoczenia. W jaki sposób?

Otóż nieobce Wam jest znane pozdrowienie katolickie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Pozdrowieniem tem witali i żegnali się nasi ojcowie i praojcowie, a gdy je wymawiali, czynili to z największem nabożeństwem i czcią głęboką, uchylając kapelusza czy czapki. Niestety chwalebny ten zwyczaj dzisiaj coraz bardziej zanika i ustępuje miejsca lekkiemu i nic nie znaczącemu powiedzeniu jak „dzień dobry“, „dobry wieczór“, „dowidzenia“ itd. Rzadko, — można nawet powiedzieć — wcale nie słyszy się pozdrowienia katolickiego w małych miasteczkach, a cóż dopiero mówić o dużych miastach, w których mieszka kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców?

Na wsi rzecz ma się trochę lepiej. Często spotyka się dzieci, pozdrawiające jeszcze słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, zwłaszcza księdza proboszcza, nauczycieli czy znajomych.

Bo też nasze staropolskie pozdrowienie katolickie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, na które odpowiada się: „Na wieki wieków Amen“ — jest i po-

ważniejsze i chwalebniejsze od wszelkich „dzień dobry“. Dzieci pozdrawiając się imieniem Boga, wysławiają Jego imię, rozszerzają więc w ten sposób cześć dla słodkiego imienia Jezus.

Niejedno z Was powie zapewne, że starsi też tak nie pozdrawiają się. Ktoby tak powiedział — ten myśli naprawdę nieładnie. Właśnie Wy, dzieci, macie pokazać, że jesteście małymi rycerkami i rycerzami Chrystusa, a jako Jego młode wojsko z dumą pozdrawiać się Jego hasłem. Na was, kochane dzieci, ciąży ten obowiązek, aby urobić się na dzielnych, śmiałych przyszlých żołnierzy Chrystusowych.

Każde z Was niech się więc stara, aby w jego wsi, miasteczku, czy mieście używał tego prastarego, pięknego zwyczaju pozdrawiania się słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Jestem przekonany, że owa osoba, która w ten sposób pozdrowicie — odpowie Wam: „Na wieki wieków Amen.“

Niech też nikt nie tłumaczy się, że się wstydzi. Jeśli się ktoś Boga powstydzi, Bóg powstydzi się kiedyś jego. Jeśli nie wstydzicie się pozdrawiać słowami „dzień dobry“, to tem mniej nie powinnyście się wstydzić pozdrawiać publicznie pochwaleniem Pana Boga.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Mały Gość.

**Bierzcie udział jaknajczęściej
w nabożeństwach różańcowych!**

„Najciekawsze zdarzenie wakacyjne“.

Wynik konkursu „Małego Gościa“.

W numerze dzisiejszym „Mały Gość“ ogłasza wynik konkursu na „najciekawsze zdarzenie wakacyjne“. Ogółem nadesłało 8 dzieci opisy. Cztery z nich nagrodzono, reszta wypadła błado, gdyż nie była dostosowana do tematu. Zdobywcami nagród są: Helena Bielska, Franciszek Wicik, Wiktor Drewniok i Wiktor Walécki. Opisy nagrodzone będą kolejno drukowane. Rozpoczynamy od opisu Heleny Bielskiej:

Najciekawsze zdarzenie wakacyjne.

Wakacje! ach te upragnione, miesiącami wyczekiwane wakacje, nareszcie przyszły. Odetchnęłam całą piersią, zdało mi się, że zrzucałam 100-tu kilogramowy ciężar gniotący mój umysł. No, ale egzamin wypadł świetnie, cenzurka nadzwyczajna, więc też nic dziwnego, że jak bomba wybuchłam śmiechem, wpadając do mieszkania z promocją w kieszeni. Pozbyłam się największego kłopotu, a tu czekają wakacje.

Wakacje zapowiadały się świetnie. Ale co wybrać? Przyjemność nie miała pojechać do babci w sosnowe bory, gdzie takie prześliczne widoki brasławskich jezior, o szafirowych toniach, i sine smugi okolicznych lasów.

A tu znowuż nasza drużyna harcerska dała hasło: „Hej, druhny, dalejże na obóz!“ Tymczasem z za Dźwiny przychodzi miły liścik od mej serdecznej przyjaciółki z prośbą o przybycie do niej na lato. Ha — i cóż powiecie, — nie małoż to miałam kłopotu z wy-

borem. A czyż myślicie, że nie miała to przyjemność przejechać się tak na „Siwym“ lub „Kasztanec“, bo i cóż to tam za konie, u tej milej mej Haneczki, że aż hej! Wybrałam mimo wszystko wyjazd do babci. Otóż trzeciego dnia spakowałam manatki i dalejże w bory.

Zrobiłam zapas farb, dwa pędzle jak wiechcie wpakowałam do walizy i pociąg uwiózł mię do Zalesia. Z babcią powitałam się bardzo serdecznie, Zagraj (pies myśliwski) skoczył mi na szyję z wielkiej radości, a ośwojony kos gwizdnął przeciągle na powitanie. Na podwórku opadły mię zewsząd z wrzaskiem i krzykiem gęsi, indyki i kury czubate. Po przywitaniu się z domownikami czempredziej na wyścigi z Zagrajem popędziłam leśną drożyną do boru. Tu powitały mię drzewa swym tajemniczym szmerem. Ulubionem miejscem przesiadywania w przyrodzie był ogromny dąb, o rozłożystych konarach, zda się wierzchołkiem swym sięgający nieba. Nieraz tu wygodnie umieszczałam się wśród rozłożystych splotów gałęzi i oddawałam się czytaniu ciekawych książek, których babcia miała niemało. Z dębu tego widziałam rozległe pola, różnobarwne łąny, mieniące się złotem dojrzewających zbóż, błękitem łąn i falami krasnej koniczyny. Cóż to za wspaniały był widok. Dalej jak okiem sięgnąć, ciągnęły się nieprzerwaną wstęgą ciemno-sine lasy, nizinne doliny zalesionych moczarów. Wśród tych lasów wylątał się Brasław, otoczony topielą wód, a dalej wznosiły się potężne wieżące kościoła.

Do Brasławia było niedaleko, więc co niedzielę chodziłam tam do kościoła. Przeplynał mi tam szereg cudnych dni. Najmilszem zaś wspomnieniem będzie na zawsze mała Basieńka, którą poznałam bardzo przypadkowo. Otóż posłuchajcie: Był precudny zachód słońca, z paletą farb wyszłam jak zwykle w stronę drogi prowadzącej do Brasławia, gdzie w cieniu dwóch topoli drzemała przydrożna kapliczka. Cicho tu było zazwyczaj i spokojnie, więc w wieczornej godzinie po całodziennem wesoło spędzonym hasaniu przychodziłam tu, by zmówić wieczorny pacierz i podziękować Bogu za Jego dobrodziejstwa. Kapliczka w tej chwili tonęła w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Chciałam więc ująć to na papier.

Oblicze Ukrzyżowanego jakoś słodko się uśmiechało, choć boleść wielka na niem się malowała. Przystanęłam zdumiona, bo u stóp Jego zobaczyłam klęczące małe dziewczę. Oczęta miała utkwione w figurze, ręczki pobożnie złożone. Nie przeszkadzałam modlitwie malej, stojąc niespostrzeżona przyglądałam się dziewczęciu. Od tego wieczoru mała Basieńka była najlepszą mą znajomą. Dowiedziałam się, że pochodzi z sąsiedniej kolonii, że jest sierotą i przychodzi tu czasem pomodlić się za duszę mamusi. Bo — jak mawiała mi mała: „bardzo lubię tą kapliczkę, bo Bozia uśmiecha się tutaj do Basiuni.“

Z Basią bardzo się zaprzyjaźniłam, gdyż było to dziewczátko nadzwyczajnie miłe i takie jakieś słoneczne i słodkie. Jednak niestety na świecie wszystko się skończy i moje wakacje też się skończyły. Musiałam się więc po-

żegnać z lasem, babcią, miłą Basieńką i zwinąć manatki. Nie zapomniałam też o spracowanych wiechciach, i jazda z powrotem.

H. B., ucz. kl. I.

Błyskawica pogodziła wrogów.

Byli dwaj gospodarze, którzy bezustannie prowadzili ze sobą procesy. Przeważnie chodziło im o granicę pola. Każdy z nich twierdził, że został skrzywdzony przez sąsiada i że jemu się więcej roli należy.

W czasie burzy jeden z rolników stał w domu przy oknie i wyglądał na ulicę, gdzie woda strumykami spływała od gwałtownego deszczu. Nagle widzi, jak ulicą biegnie jego sąsiad z miną bładą od przerażenia. Przemoknięty i drżący stanął w izbie i odrazu



przeprosił, że tak długo zwlekał z pogodzeniem się. Usiadłszy na ławie przy piecu, opowiedział następnie, co było przyczyną tak nagłej chęci do zgody. Gdy nadciągała burza, był właśnie na polu i kosił zboże. Chmury coraz groźniej gromadziły się nad jego głową, błyskawice jak złote węże wypadały z czarnego kłębowiska. Wtedy przyszła mu myśl, by natychmiast ukończyć spór o granicę i skosić poprostu kawał pola sąsiadowego, jakgdyby było jego własnością. Już podniósł kosę, aby rozpocząć nieczne dzieło, gdy uderzyło tuż przy nim i wyrwało mu kosę z rąk. Przeląkł się okropnie i w jednej chwili przejrzał i był skłonny do zgody.



Jak stary inwalida uratował życie wielu dzieciom.

W jednym z kin paryskich było przedstawienie dla dzieci. Pokazywano piękne obrazy z kolonii francuskich w Afryce i Indochinach. Było tam można widzieć słonie, tygrysy i olbrzymie węże. Zwinne dżonki jeździły pod słomianymi żaglami po srebrnych rzekach; karawany murzynów z ładunkami kości słoniowej poruszały się po ciemnych gankach, wytrzebionych w zaroślach dziewiczych lasów. Nagle dzieci, zapatrzone w ekran, spostrzegły, że w kabynie operatora dzieje się coś niezwykłego, i że kłęby dymu przeciskają się do sali widzów. Najwidoczniej wybuchł w kinie pożar. Rozległy się krzyki zgrozy, niektóre dzieci gwałtownie śpieszyły ku wyjściu. Zanosilo się na niebezpieczną panikę. Czytałyście, kochane dzieci, z pewnością już

o takich wypadkach, gdzie ludzie uciekający przed pożarem zatłoczyli się na śmierć, chcąc jaknajprędzej wydostać się nazewnątrz. Ale w tamtem kinie znalazł się dzielny opiekun, stary inwalida. Miał on obok wejścia do sali ustawiony stolik z słodyczami, które sprzedawał. Skoro tylko dowiedział się o grożącym niebezpieczeństwie, wziął pudełko z cukierkami i oznajmił wśród żartów dzieciom, że dostaną po karmelku, o ile się grzecznie ustawią i będą przechodziły koło niego parami. Dzieciom podobało się to bardzo. Uspokoili się i wyszły w zupełnym porządku z sali. Gdy ostatnia para wyszła, z celi operatora wybuchnął gwałtowny płomień i sala w okamgnieniu zamieniła się w prawdziwe piekło. Gdyby dzieci, zamiast wyjść spokojnie, były się cisnęły gwałtownie do drzwi, nie wątpliwie byłyby się spaliły.

Tak przytomność starego ka'leki ocaliła życie mnóstwu dzieci. Pamiętajmy to sobie na zawsze: *W chwili niebezpieczeństwa nie tracić głowy, lecz spokojnie rozważyć możliwości ratunku, a potem działać energicznie.*

Skarb w biurku.

Nieś samemu dosyć ciężkie biurko, gdy się jest małym chłopcem, nie jest rzeczą łatwą. Ale skoro przeczytacie tę historję, powiecie z pewnością, że takich biurek chcielibyście codziennie nieś choćby dziesięć.

Działo się to wcale niedawno. Pewien chłopczyk wiejski w Hiszpanji miał zanieść niewielkie, stare biurko na probostwo. Stękając dźwigał swój ciężar. W pewnej chwili potknął się o kamień uliczny i stuknął mimowoli biurkiem o bruk. Obluzniła się przytem jakaś listewka i na bruk wypadło kilka monet złotych. Chłopczyk zebrał je skwapliwie i niósł biurko dalej. Jakże się cieszył, gdy wreszcie doszedł do plebanji. Przed wejściem postawił stary mebel twardo na ziemi. W tej samej chwili musiała się znowu otworzyć jakaś tajemnicza komórka, bo brzęcząc wypadły znów złote monety. Była ich cała kupa. Chłopak zawołał proboszcza, aby mu pokazać błyszczący w słońcu skarb. Starannie zbrali pieniądze i zawołali dawnego właściciela biurka, który policzył monety i znalazł, że stał się bogatym człowiekiem. Ktoś użył w dawnych czasach biurka jako kryjówki i schował w niem cały swój majątek.

Dobry chłopak, który tak uczciwie postąpił, dostał odrazu 2000 złotych jako nagrodę. Pobiegł do domu i wysypał pieniądze przed zdumioną matką. Jakże się cieszyli biedni ci ludzie. A i księdzu proboszczowi dostała się pewna część skarbu, za którą zakupił piękny nowy ornat mszalny.

Po czterdziestu dwóch latach.

W mieście Brighthon (czyt. brajdn) w Anglii przygrywała na publicznych plantach orkiestra wojskowa pod kapelmistrzem porucznikiem Dunn. Wśród słuchaczy, którzy z radością słuchali pięknej gry, był pewien stary mężczyzna. Siedział na jednej z ławek i był zupełnie zasłuchany w dźwięki muzyki. Wyraz jego twarzy zdradzał, że był niewidomy. Oznaka, którą miał przypiętą do marynarki, głosiła, że był weteranem i inwalidą wojennym. Snać orkiestra wojskowa wzbudziła w sercu jego drogie wspomnienia, bo wzruszenie malowało się w jego rysach.

Gdy w jednej z przerw sam porucznik ogłosił donośnym głosem, jaka będzie następna sztuka muzyczna, stary weteran wyprostował się nagle i zdawało się, że chce powstać. Ale siedział na ławce aż do końca kawałka, choć było po nim widać wielkie wzruszenie. Zaiedwie instrumenta zamłkły, wstał i poprosił, by ktoś zaprowadził go do porucznika. Oczom obecnych przedstawił się wtedy wzruszający widok: Niewidomy przemówił do oficera kilka słów, po których padli sobie w objęcia. Wykazało się że inwalida poznał po głosie starego kolegę, z którym rozstał się przed 42 laty. Razem służyli w dalekich krajach kolonialnych, razem kroczyli przez pustynie, góry i lasy dziewicze, razem walczyli w niejednej bitwie.

Osiwiali w służbie króla angielskiego porucznik tak był uradowany z powodu tego spotkania, że urządził dla zakładu inwalidów wojennych, w którym mieszkał weteran, osobny koncert, na którego treść składały się same dawne marsze wojskowe z dawnych, szczęśliwych czasów, kiedy jeszcze w jednym szeregu znosili mokoły i trudy żołnierskie.



Z waszych Stowarzyszeń.

Chorzów L. parafia św. Jadwigi. My, dzieci z parafii św. Jadwigi, zwracamy się znowu do Ciebie, Mały Gościu, by się z Tobą podzielić nowymi wiadomościami. Mianowicie chcemy Ci donieść, jak przeżyliśmy wakacje szkolne. Jedną część dzieci była wysłana przez szkołę na wieś, ale wielka liczba z nas została w domu. Jednak nie nudziłyśmy się, bo chodziliśmy dziennie na Mszę św., na którą nas tak bardzo zapraszał nasz czcigodny ks. Bonk. Dwa razy tygodniowo nauczał nas pieśni do Matki Boskiej i Responsorje. Dlatego też chętnie śpieszyliśmy do kościoła na Mszę św., aby oddać cześć Panu Bogu. Tych błogich chwil nigdy nie zapomnimy. Wakacje się skończyły i już prawie od miesiąca uczymy się pilnie w szkole.

W sobotę dnia 22 września rb. byliśmy do spowiedzi św., a w niedzielę przystąpiliśmy do Stołu Pańskiego. Po południu zebrałyśmy się o godz. 3-ciej i w pochodzie ruszyliśmy z kościoła św. Jadwigi do nowego kościoła św. Antoniego dla uzyskania odpustu jubileuszowego. Ks. Bonk w zastępstwie ks. radcy Gaidy z ambony wygłosił krótką naukę o znaczeniu odpustu jubileuszowego. Modlitwy przy trzech ołtarzach odmówił ks. Łukaszek. Cała procesja, długa i okazała, prowadził ks. Bonk. Przez całą drogę śpiewaliśmy pieśni nabożne. W kościele św. Antoniego ks. Łukaszek znów odprawił modły i udzielił błogosławieństwa. Spowrotem przeszliśmy przez całe miasto. Przy dźwiękach muzyki śpiewaliśmy mocno, żeby pokazać, że jesteśmy dobrymi katolikami. W kościele św. Jadwigi odmówione zostały znów modlitwy i odśpiewaliśmy Te Deum laudamus. Udzieliło nam Błogosławieństwa Sakramentalnego a na zakończenie ks. Bonk dziękował wszystkim dzieciom za liczny udział w procesji.

Bardzo jesteśmy wdzięczni naszemu Duchowieństwu, a szczególnie kochanemu i szanowanemu ogólnie ks. Bonkowi, który dołożył swych sił do udania się procesji. Byli tacy, którzy mogli sobie pozwolić na to, by wyjechać do Krako-

wa, i tam uzyskać odpust, ale my nie mamy na to.

Chcemy iść za przykładem i wskazówkami naszego Czcigodnego Arcypasterza Ks. Biskupa Adamskiego i bronić zawsze naszą wiarę katolicką.

Z tego miejsca składamy szczerze podziękowanie Wiel. Ks. Bonkowi za trudy, poniesione około nas dzieci.



Koń ratuje życie dziewiętnastu górnikom.

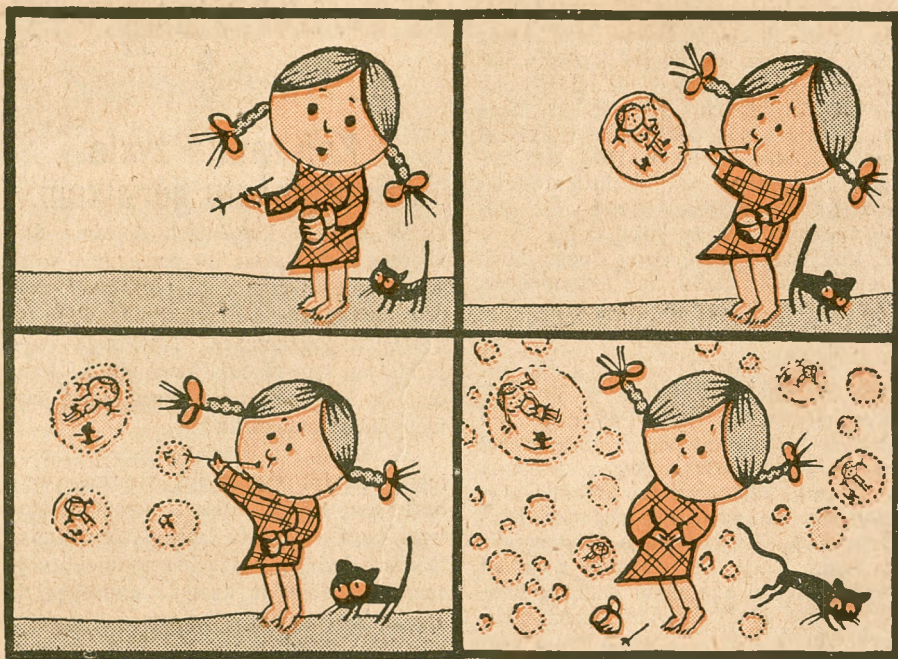
W starych kopalniach do dnia dzisiejszego używa się do pociągania wózków koni. Zwierzęta te przez długi czas, czasami aż do śmierci, przebywają w czarnych podziemiach. Tam mają swoją stajnię, tam zjadają swój obrok. Pracują w kopalni jako pokorni, pilni, cisi niewolnicy człowieka.

W kopalni serbskiego miasta Serajewo zdarzył się kiedyś straszny wybuch gazów. Wskutek ciśnienia powietrza nagle pogasły wszystkie lampy. Górnicy byli w największym niebezpieczeństwie. Jak tu znaleźć wyjście, jak przeniknąć straszne ciemności, wśród których zbliżały się szybko trujące gazy?

Wtedy stary koń kopalniany stał się oswobodzicielem robotników. Jeden z rębaczy pochwycił go za ogon i szedł za nim, nawołując kolegów, by się do niego przyłączyli. Wzięli się więc za ręce, aż było ich dziewiętnastu. Koń szedł, wiedziony instynktem zwierzęcym, ku szybkości, gdzie miało dostęp świeże powietrze. I tak ocalał życie ludziom, którzy się jemu powierzyli. W owej katastrofie górniczej zginęło 137 dzielnych robotników straszną śmiercią zaccadzenia.

Przypuszczać można, że stary koń, który ocalał życie dziewiętnastu ludziom, miał się odtać dobrze. Może znowu ujrzał światło dzienne i mógł skubać słodką trawę na zielonej łące.

Przygody Fucinki.



Jak to m'ło z mydła pianki
puszczać sobie słomką bańki:
Kolorowo i tęczowe, — lecą nad Fucinką
głową.

Lecą bańki, pomykają,
Cały światek odbijają.
Jak to miło z mydła pianki
Puszcząć sobie słomką bańki.
Nawet Funia nie wiedziała
Ile baniek napuszczala.

Patrzcie, proszę, moje dzieci,
Ile baniek w górę leci.
Spojrzy Funia: — baniek tyle
Ponad głową, w górze, w tyle —
Tyle baniek! — pokój cały,
Że aż uciekł kotek mały.
W każdej bańce po Fucinco
Pokręconej w śmiesznej mince.
Tyle baniek — pokój cały,
Że aż uciekł kotek mały.